

Steffen Junior, Edward

W wirze zamieci (3) : pamiętniki z wojny (rok 1941)

Przegląd Pruszkowski nr 2, 99-114

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W wirze zamieci (3) **Pamiętniki z wojny (rok 1941)**

Przewodniczącym komitetu wykonawczego rejonu (Rajispołkomu) był dość gładki osobnik. Jego zachowanie zdradzało obycie nie tylko partyjne ale i środowiskowe, rodzinne. Spośród trzech sekretarzy rejonowego komitetu partii rozmawiałem zwykle z trzecim, sekretarzem propagandy, w gestii którego była Służba Zdrowia. Wczesną wiosną 1941 roku dokonywano wyborów do związku zawodowego pracowników medycznych. Kiedy przyszło do wyboru przewodniczącego, padło moje nazwisko. Podniosłem się i zacząłem wygłaszać swój życiorys, ale jak doszedłem do mojej rodziny, przebywającej po drugiej stronie linii demarkacyjnej, jeden ze starszych komsomolców wstał i ostro zakwestionował moją lojalność wobec Związku Radzieckiego (raz u niewo siemja za kordonom, on u nas szczytajetsia niebłogonadiożnym). Ton wypowiedzi tego komsomolca był tak napastliwy, że zgłosiłem wycofanie mojej kandydatury z obawy przed roztrząsaniem życiorysu od czasu znalezienia się na terenie Zachodniej Ukrainy. Sprawę rozstrzygnęła Tamara, kierowniczka Rajzdrawu, która tak zgromiła protestującego, że usiadł i zamilknął. Tymczasem przysunął się do mnie urzędnik z otoczenia Tamary, młody warszawiak narodowości żydowskiej.

- Panie doktorze - powiedział - Tamara całą sprawę uzgodniła już wcześniej w komitecie rejonowym partii, proszę nie wycofywać swojej kandydatury.

I tak zostałem przewodniczącym rejonowego oddziału Związku Medsantrudu.

Przed dniem pierwszym maja tegoż 1941 roku zatelefonował do mnie sekretarz propagandy Rejkorhu Partii zawiadamiając, że mam przywitać w imieniu mojej organizacji związkowej zebranych na manifestacji pierwszomajowej. Gdy zapytałem, czy chce wiedzieć, o czym będę mówił, odpowiedział:

- My wam, towarzyszu doktorze, dowierzamy. -

Mówiłem z trybuny na otwartym powietrzu, z kartki, głośno i dobrze po rosyjsku. Przemawiając nie od siebie ale od grona pracowników Służby Zdrowia, musiałem zachować obiektywny umiar. Stojący pod trybuną

zastępca komendanta rejonowej placówki NKWD zapytał urzędnika Rajdrawu Pesta, gdzie doktor uczył się mówić po rosyjsku. Pest wyjaśnił, przesadzając, że ukończyłem medycynę na carskim uniwersytecie, co było nieprawdą ale zaspokoilo ciekawość pytającego. Zebrana ludność Cumania powtarzała między sobą:

- Nasz doktor wygłosił kazanie. -

Przed pierwszym maja miałem wizytę funkcjonariuszy milicji. Kazano mi wyjąć z apteki szpitalnej niezbędne leki na okres trzech czy czterech dni, po czym dostęp do apteki zaplombowano. To samo powtórzono z apteką w osiedlu. Znałem już te postępowanie z okresu pracy w Stanisławowie. Były wówczas specjalne zarządzenia o przestrzeganiu ostrożności w stołówkach zakładowych i w tak zwanych ogólnie dostępnych. W dni obchodów majowych byłem już dobrze znany nie tylko władzom ale i ludności.

Cofając się wstecz do Świąt Wielkanocnych, to nie były one już tak beznadziejne i samotne, gdyż na święcone zaproszono mnie do rodziny pacjentów. Poszedłem tam z księgowym Kuropatwą. Gospodarze stanowili mieszane małżeństwo Ukraińca z Polką. Panowała życzliwa atmosfera, stół zastawiony świątecznie. Wydaje mi się, że był to okres świąt prawosławnych obchodzonych nadal według starego stylu, a więc bliżej ku pełnej wiosnie. Mieszane małżeństwo Janulów było źle widziane przez nacjonalistów ukraińskich. Nasilenie tego ujemnego stosunku wahało się równolegle do sytuacji politycznej i w czasie II wojny światowej niosło nawet zagrożenie życia. Rejon Cumańsko-Ołycki obejmował znaczą część terenu Ordynacji Radziwiłłowskiej z jej wiekową tradycją, podtrzymującą świadomość narodową polskiej miejscowości, co mogłem stwierdzić osobiście w rozmowie z pacjentami oraz ich rodzinami.

Żywiół polski grupował się w Cumanii wokół zarządu i pracowników dużego przedsiębiorstwa obróbki drewna, dokąd dostarczano surowiec z rozległych lasów należących do Ordynacji. Wsie w terenie były przeważnie ukraińskie. W niektórych wsiach o mieszanej ludności, stał kościół rzymsko-katolicki obok prawosławnej cerkwi i gospodarstwa plebana. Były również wsie polskie ale mniej liczne, stąd parafie obejmowały większy teren. Po I Wojnie Światowej zaczęto tu osiedlać rodziny byłych wojskowych, uczestników walk legionowych i wojny obronnej 1920 roku. Były również kolonie czeskie i niemieckie, które uległy przerzedzeniu, kiedy nadeszły w 1941 roku wojska III Rzeszy a za nimi zespoły administracyjne, przeprowadzające selekcję i przenoszące kolonistów do miejsc pochodzenia na Zachodzie.

Pomimo pewnego zadomowienia się w Cumanii i pozyskaniu zaufania u władz, a przede wszystkim u ludności osady, zaniepokoiłem się, gdy dostałem nieoczekiwane wezwanie do stawienia się w placówce NKWD

miejscowego Rejonu. Poszedłem tam z ciężkim sercem. Na dobitkę po drodze spotkałem szpitalnego kucharza Wąsika, który ostrzegł mnie, że przed paroma dniami wezwano na tak zwaną wyspę, gdzie mieściły się agendy wszystkich władz rejonu, kierownika miejscowej szkoły, dziesięcioletki, rzekomo po odbiór poborów ale był to tylko podstęp, gdyż nauczyciel dotąd nie wrócił do domu. Niestety, nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko stawić się na wezwanie. Wszedłem do sieni komendy i zapukałem.

- Da! - co oznaczało: wejść. Dyżurny funkcjonariusz poznał mnie.

- Towarzysz doktor do naczelnika?

- Tak.

- To pozwólcie do jego mieszkania. -

Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem naczelnika siedzącego za stołem z ogromnym nosem w stanie zapalnego obrzęku. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu. W ten sposób sytuacja została nieoczekiwanie i groteskowo rozwiązana. Przy badaniu okazało się, że nie był to pojedynczy czyrak, lecz kilka, jednak nie karbunkuł, co potwierdził pomyślny przebieg leczenia. A działo się to przed wprowadzeniem do leczenia antybiotyków, rozporządzałem tylko resztkami czerwonego Prontosilu, sulfonamidu.

Wiosną 1941 roku zarząd tartaku zorganizował majówkę w sąsiednich lasach. Dojazd kolejką wąskotorową przeznaczoną do transportowania drzewa. Był przygotowany bufet i podłoga z desek do tańca. Grała orkiestra dęta pracowników tartaku. Wycieczka utartym zwyczajem zaczynała się od "części ideologicznej" z odczytem wygłaszanym przez prelegenta w języku, jaki wybiorą zebrani. Tym razem był to ukraiński ze sporą domieszką słów rosyjskich, różniących się od używanego w okolicach Lwowa. Treść wypowiedzi prelegenta dotyczyła sytuacji politycznej. Zupełnie nieoczekiwanie usłyszałem o nasilonym działaniu lotnictwa sił sprzymierzonych nad Niemcami. Prelegent bez lekceważenia, jak to miało miejsce wcześniej, mówił o czynach lotnictwa bombardującego obiekty strategiczne III Rzeszy.

- Wy wiecie, oni latają jak stada wron! -

Proniemieckiego komentarza nie było. Dopiero kilka tygodni później zrozumiałem ten zwrot w kierunku Anglii i Francji de Gaulle'a, gdyż zbliżał się czerwiec z pamiętną datą 22, to jest dniem najazdu hitlerowców na Związek Radziecki.

Lasy radziwiłowskie były rozległe i w wielu miejscach jakby nie ruszone jeszcze ręką drwali. Podszycie gęste, splecione, na niewielkich polanach łany konwaliowe. Rozliczne ptactwo, nie brakowało wspaniale upierzonych, jak kraski, dzięcioły i wilgi popisujące się urzekającym gwizdem.

Na majówkę pojechałem ze Stefcią, która odwiedziła mnie po raz drugi w Cumaniu. Była po przebytej chorobie gorączkowej, chyba zapaleniu

dróg żółciowych. Straciła wyraźnie na urodzie i świeżości. Tym razem zatrzymała się w Cumanii przez kilkanaście dni. Wkrótce po jej przyjeździe dostałem list bez podpisu. Autorka, bo tak wynikało z treści anonimu, wyrażała zdziwienie, że tak nieszczególną osobę wybrałem za przedmiot miłosnych zapalów. Dość łatwo domyśliłem się, że autorką tego listu była pani Żenia, przełożona pielęgniarek szpitala. Pani, choć w moim wieku, mocno przypominała erotyczną mentalność rosyjskiej pensjonarki. Od Stefci dowiedziałem się, że ten i ów ze znajomych w Stanisławowie dopytywał się o mnie. Między innymi lekarz Rutsztajn. Do dziś dziwi mnie, że tamtejsze władze nie wszczęły energiczniejszych poszukiwań mojej osoby. Pielęgniarkę Felicję Fogiel, która tak dzielnie zachowywała się, gdy przyszli po mnie funkcjonariusze milicji NKWD - wzywano co prawda na przesłuchanie, ale nie miało to niekorzystnych dla niej następstw. Przez Stefcię przesałem pewną sumę pieniędzy dla państwa Sikorskich, u których przebywałem kilka tygodni, ukrywając się po opuszczeniu schowka na terenie szpitalnym.

Ze Stefcią spotkałem się i to na bardzo krótko po II wojnie światowej, gdy w 1948 roku zwiedzałem z moją obecną żoną jakąś wystawę w Sopocie. Po przekroczeniu progu jednej z sal wystawowych usłyszałem radosny okrzyk:

- O, pan doktor! -

Była to Stefcia, ale ja okazałem się tak zaskoczony tym nieoczekiwanym spotkaniem, że zamieniłem zaledwie kilka zdań. Dowiedziałem się tylko, że mieszka w Krakowie, no i nic więcej, choć tak wiele było do wyjaśnienia i powiedzenia. Myślę, że nie wiedziała o tym, że zimą 1942/43 roku miałem w Pruszkowie odwiedzin pewnego młodego osobnika ze Stanisławowa, w mundurze chyba strażnika kolejowego, czy innego funkcjonariusza pracującego w powiązaniu z władzą okupacyjną. Odwiedzający wypytywał mnie w sposób podchwytliwy o okres przyjaźni mojej ze Stefcią w Stanisławowie. Zanim zorientowałem się, że jest to zazdrosny mężczyzna, nie mogący pogodzić się z myślą o powiązaniu w przeszłości jego obecnej wybranki z innym mężczyzną - byłem w nielada opałach. Po dłuższej wymianie zdań nie uchybiając pamięci wspólnych przeżyć ze Stefcią, odzyskałem stopniowo panowanie nad sytuacją. Rozstaliśmy się raczej w przyjaznej atmosferze, ale czy został przekonany i jakie były następstwa odwiedzin w Pruszkowie, nie mogłem dowiedzieć się przy niespodziewanym spotkaniu Stefci w Sopocie.

Tydzień przed najazdem niemieckim na Związek Radziecki byłem wezwany do komitetu partii. Oczekując na trzeciego sekretarza wysłuchałem radiowego komunikatu TASS, w którym zaprzeczono jakoby Niemcy gro-

madzili wojska i sprzęt nad granicą radziecką. Wbrew temu oświadczeniu już od kilku tygodni werbowano robotników do przygotowania polowych lotnisk. Jadąc w tym czasie do chorego nadleśniczego na odległą około 15 km placówkę w głębi lasów, widziałem korowody chłopskich furmanek zdążających do wyznaczonych punktów zbiórki. Wracalem nocą, tu i ówdzie paliły się ogniska. Był koniec maja, las rozbrzmiewał najróżniejszymi głosami ptactwa i zwierząt. Sceneria była niezwykła, ale siedząca obok mnie młoda osoba, żona równie młodego lekarza weterynarii, którą na jej prośbę zabrałem ze sobą - po prostu spała. Poznałem tego wieczoru rodzinę nadleśniczego. Ona na mój gust interesująca, nie uległa wpływom radzieckiego Wschodu. Odrębność Rosjank intryguje.

Odbiegłem od tematu. Otóż w komitecie partii musiałem tłumaczyć się, dlaczego nie zwerbowałem kilkorga dzieci w wieku szkolnym, kandydatów na letnie obozy wypoczynkowo ozdrowieńcze. Tłumaczyłem, że rodzice nie zetknęli się jeszcze z podobną akcją, poza tym chodziło również o dość sporą odpłatność. O tym, że rodzice obawiali się nieznanej atmosfery, której jeszcze nie zaakceptowali, oczywiście nie wspominałem. Nie mówiłem też o niepewnej sytuacji politycznej. W tydzień po rozmowie w komitecie i wysłuchaniu uspokajającego komunikatu TASS, wybrałem się w odwiedziny do sąsiedniego szpitala w Ołyce. Towarzyszyło mi kilku współpracowników. Wyjechaliśmy rankiem w dniu 22 czerwca naszym szpitalnym parokonnym wozem. Byliśmy w humorach. Po drodze minęliśmy urzędnika z Rajkomu Burczyka, który wydawał się zdziwiony, że tak bez trosko wyruszyliśmy w teren.

Dopiero w Ołyce dowiedzieliśmy się, że od świtu zaczął się atak wojsk Hitlera. Był już bombardowany Łuck, zginął lekarz Złotkin. Czym prędzej zawróciliśmy do Cumania. Panował tam jeszcze zupełny spokój, dopiero wieczorem zaczęły przejeżdżać przez naszą osadę ciężarówka załadowane żołnierzami radzieckiej piechoty.

W nocy dostałem wezwanie do stawienia się w wojenkomacie. Byłem zaniepokojony, choć już wcześniej wręczono mi tak zwany "bronirowoczny list", to jest dokument pozostawiający mnie na wypadek mobilizacji na zajmowanym posterunku przez okres sześciu miesięcy. W biurze wojenkomatu okazało się, że mam przewodniczyć komisji lekarskiej dla przeglądu i kwalifikacji rezerwistów, ale niebawem zjawiła się kierowniczką Rajzdrawu Sidielnikowa, która wymogła na komendancie zwolnienie mnie do pracy w szpitalu. Zanim opuściłem budynek, gdzie odbywała się komisja, staliśmy na zewnątrz. Przelatywały samoloty, komendant obserwował je przez lornetkę

- Za ziernom poletieli. -

Zrozumiałem, że chodzi o amunicję. Ale nie były to najpewniej maszyny radzieckie.

- Jakoś to będzie - dodał komendant - Zachodni alianci nam pomogą.

Na wieść o wojnie znaczna część chorych wypisała się ze szpitala, a nowi nie przybywali. Trzeciego, czy czwartego dnia wojny, w godzinach popołudniowych nadjechała ciężarówka. Z szoferki wyskoczył kapitan, okazało się - lekarz. Przywiózł rannych. Na schodach przed szpitalem zagał rozmowę:

- Wydaje się, że wśród rannych mogą być już nieżyjący, w każdym razie weźcie to, towarzyszu, pod uwagę. -

Zaraz po tym, przyglądając mi się, zapytał, czy nie spotkaliśmy się już wcześniej. Nie podjąłem rozmowy na ten temat, gdyż mógł spotkać mnie w Stanisławowie, zresztą nie było czasu na pogawędkę z dociekliwym kapitanem. Wśród ciężko rannych, poukładanych na noszach w ciężarówce, byli tacy, których kazałem przenieść do ogrodowej altany, gdyż albo już nie żyli, albo byli głęboko nieprzytomni, we wstrząsie, a nie miałem na tyle czasu ani personelu, żeby zaopiekować się od razu wszystkimi rannymi wymagającymi pomocy.

Po upływie godziny, kiedy mogłem zająć się również umieszczonymi w altanie, zauważyłem u jednego z żołnierzy oznaki życia. Po przeniesieniu na salę operacyjną wyżył, ale z wiotkim porażeniem obu dolnych kończyn. Pracy przy rannych było nadmiar; pomagał mi kolega Cymmer i felczer Suwalski, nieco później dołączył Samsonienko. Brakowało pielęgniarek, gdyż cały zastęp radzieckich odjechał już następnego dnia po wybuchu wojny.

Piątego dnia wojny ciągle jeszcze wydawało się, że leżący na uboczu Cumań uchroni się od ataków z powietrza. Po południu tegoż dnia wyszedłem do ogrodu. Od strony zachodniej leciał klucz samolotów. Spośród tego zgrupowania oddzieliły się trzy samoloty i skierowały w naszą stronę. Już po upływie kilkunastu sekund zaczęły nurkować i rzucać bomby na osiedle. Trafiono przejeżdżające samochody i czołgi, również kilka zabudowań. Wkrótce zaczęli przybywać ciężko ranni, zarówno żołnierze jak i osoby cywilne, większość z poważniejszymi obrażeniami. Poszarpane powłoki brzuszne z jelitami wypadniętymi na zewnątrz, obsypanymi ziemią; ranni w klatkę piersiową, krwawiący bulgoczącym spienionym płynem. Wśród tego koszmaru znalazła się żona kierownika wydziału finansowego, znana już z kart tego pamiętnika. Była krańcowo wystraszona, wzywająca głośno pomocy, między innymi w imię Boga.

- Ratujcie, kto w Boga wierzy! -

Ranna w stopę, nie reagowała na perswazje i zapewnienia, że niebawem będzie przeniesiona na salę operacyjną. Obecny przy tym jeden z

towarzyszy z kompartii dość natarczywie domagał się udzielenia jej pomocy lekarskiej poza kolejnością, argumentując powagą zranienia. Wyprowadzony z równowagi podniosłem głos, wskazując na wielu innych daleko ciężiej poszkodowanych, oczekujących cierpliwie na udzielenie pomocy w kolejności. Interweniujący towarzysz zrozumiał wreszcie, że należy uznać moją rację, ale była chwila, kiedy zauważyłem, że sięga odruchowo w kierunku wiszącego u pasa naganą. Wreszcie kolega Cymmer mógł zabrać ranną na salę operacyjną, co rozładowało napiętą atmosferę.

Następnego dnia rano dowieziono kilkunastu rannych, przeważnie żołnierzy, którym mogliśmy zapewnić łóżka, tylko dzięki temu, że reszta cywilnych chorych po prostu uciekła ze szpitala, nawet chory z tężcem wyczołgał się nocą z budynku i został zabrany na wieś przez oczekującą rodzinę.

Z ruchu wojsk radzieckich było widoczne, że wycofują się, ale bez cech popłochu, natomiast wśród ludności zapanowała panika - opuszczali domy w osiedlu i kryli się w pobliskich lasach. Część z nich wracała do osiedla na noc.

Ranna w stopę kobieta radziecka, zauważywszy ruch wojsk na Wschód, zapytała z niepokojem, czyżby nastąpił odwrót.

- Nie użę li eto atstuplenie, doktor? -

- Tak wygląda - odpowiedziałem.

Wtedy zażądała odwiezienia do najbliższego punktu ewakuacyjnego dla rannych, znajdującego się przy moście nad Horyniem, na wschód od Cumania. Odjechała naszym parokonnym wozem, co rozładowało atmosferę niepokoju. Na szczęście wóz wrócił, a był to jedyny środek transportu w szpitalu.

Wśród rannych, którzy przybyli do szpitala po pierwszym bombardowaniu, był sztabkapitan, inteligent, żołnierz ciężko poszkodowany, zdający sobie sprawę, że jest świadkiem cofania się wojsk radzieckich - jednak nie stracił wiary w ostateczne zwycięstwo. Tego rannego zabrali po kilku dniach Niemcy, wyjaśniając, że przenoszą go do większego szpitala dla jeńców, ale mógł on zginąć już po drodze...

Po zakończeniu rannego obchodu sal wyszedłem na teren Cumania zaczerpnąć powietrza i zdobyć wiadomości. Po drodze minąłem grupę członków Rajkomu. Na moje pozdrowienie otrzymałem zwykłą odpowiedź, ale uświadomiłem sobie, że mogliby polecić mi wycofanie się na wschód. Właściwie myślałem o tym już wcześniej, jak tylko spostrzegłem grupę tych odpowiedzialnych pracowników i dlatego mijałem ich, przemykając się. Na szczęście nie mieli zamiaru ewakuowania mnie - przeszedłem nie indagowany i zostałem na swym posterunku w Cumaniu. Mój dokument (bronirowocznyj list) miał swoją wartość.

Po pierwszym nalocie codziennie nadlatywały nad Cumań samoloty niemieckie; ale tylko raz zrzuciły bomby na kolumnę przejeżdżających samochodów i czołgów. Władze szybko opuściły rejonowe urzędy. Zapalono kilkunastu bezkrólewie, lecz nie było żadnych napaści Ukraińców na polską ludność, poza napastowaniem przez podrostków księdza Zawadzkiego, który oddalił się od grona wiernych w pobliskim lesie i samotnie odmawiał modlitwy z brewjarza. Księdzu podcięto gardło kieszonkowym nożem. Kiedy przyniesiono rannego do szpitala, w zięjącej ranie widać było bijące, na szczęście nie przecięte, tętnice dogłowowe, ale z uszkodzonej tchawicy wydostawał się pienisto-krwisty płyn. Zapadał już zmierzch, wobec czego z braku dostatecznego oświetlenia, trzeba było zrezygnować z zabiegu operacyjnego, opatrując doraźnie ranę. Operacja dokonana rano następnego dnia odbyła się w szczególnych okolicznościach, przy akompaniamencie gwałtownej kanonady artyleryjskiej. Budynek drżał w posadach. Trzymałem otwarty atlas anatomiczny, a kolega Cymmer, wcale nie będący biegłym chirurgiem, starał się odtworzyć warstwowo ciągłość przeciętych tkanek. Po operacji ksiądz został zabrany przez rodzinę Janku ofiarującą opiekę u siebie w domu. Głowa rodziny, Czech, pozostał w Polsce po I Wojnie Światowej. Pracował w administracji tartaku, dobrze mówił po niemiecku. Dom był dostatnio zagospodarowany a opieka troskliwa.

Kilka dni przed przyjściem wojsk niemieckim byłem niezwykle rozkojarzony nerwowo, inaczej mego stanu nie mógłbym nazwać.

Noce były spokojniejsze, ale w ciągu dnia nie ustępowały ataki lotnictwa: samoloty zniżały się i otwierały ogień z broni maszynowej. W szpitalu, zapełnionym rannymi, urzędował kolega Cymmer i salowa Władzia, osoba - jak pisałem - pomyłona, ale oboje pracowali niestrudzenie i byli nieustraszeni.

Po obchodzie sal pracowałem w ogrodzie, czasem trzeba było kryć się za pniami większych drzew, gdy samoloty ostrzeliwały obiekty terenowe. W przeddzień, czy na dwa dni przed przyjściem oddziałów niemieckich, zameldowano, że czeka na mnie wyższy rangą radziecki oficer. Rzeczywiście, był to wojskowy w randze generała.

- Czego towarzysz generał sobie życzy?

- Doniesiono mi, że leżący w szpitalu ranni nie mają zmienianych opatrunków. -

Weszliśmy na salę. Generał wskazał mi dwóch czy trzech rannych. Wyjaśniłem mu, że taki tryb zmiany opatrunków jest podyktowany właściwym postępowaniem chirurgicznym. Nie oponował. Wyszliśmy na korytarz i dopiero tam towarzysz generał "puścił farbę".

- Czy nie mógłbym u was dostać czegoś do jedzenia?

- Ach, o to chodziło - pomyślałem.

Poszliśmy do kuchni.

- Panie Wąsik - zwróciłem się do kucharza - proszę dać coś do jedzenia panu generałowi.

Mówiłem po polsku. Wielokrotnie wspominałem to pozornie błahe wydarzenie, ale jakże charakterystyczne.

W dniu, kiedy Niemcy weszli do Cumania, byłem poza szpitalem. Nie mogąc dostać się do miejsca pracy ukryłem się w ziemiance przykrytej kłodami drzewa. Razem ze mną znalazł się mało znany osobnik, bliżej nieokreślonej profesji, obyty w świecie, poliglota. Wspominam o nim, gdyż wkrótce po zmianie władzy, osobnik ten spłądował kartotekę placówki NKWD, o czym później.

W momencie wkroczenia żołnierzy niemieckich na teren szpitala był tam kolega Cymmer. Przeszukano spiżarnię, zabierając poza żywnością również mydło i bardzo tandetną pastę do zębów. Żołnierze wynosili w hełmach jajka i smażyli jajecznicę na słoninie, której zgromadziliśmy spory zapas. Spiżarnia została doszczętnie opróżniona, zostało tylko trochę jarzyn.

Rannych żołnierzy radzieckich zgromadzono, ścieśniając wszystkich na jednej sali, łóżko przy łóżku. Wyłoniły się różne zagadnienia administracyjne, przede wszystkim problem żywienia wobec opróżnionej spiżarni. Mieliśmy, co prawda, kilka świń w zabudowaniach gospodarczych - ale nie były one jeszcze dostatecznie utuczone. Niemcy zaproponowali, że podzielą się z nami mięsem i wyrobami po uboju. Niestety, jak należało przypuszczać, dostaliśmy tylko kilka kilogramów odpadków. Ale trzeba było widzieć, jak zaimprovizowano warsztat rzeźniczo-masarski na stołach zestawionych z wyjętych drzwi od wozowni i chlewni. Jak sprawnie rozbięto mięso i przygotowywano wyroby.

Poza jedną salą, gdzie zgromadzono chorych, zostawiono do naszej dyspozycji izbę przyjęć. W kuchni żołnierze gospodarowali wspólnie z naszym personelem. Za tłumacza służył kolega Cymmer, który - między innymi - wdał się w rozmowę z obersztabsarctem, absolwentem niemieckiego uniwersytetu w Pradze Czeskiej. Po tej rozmowie, podczas której obaj wymieniali nazwiska wspólnych profesorów, Cymmer skłonny był uważać, że nie tacy Niemcy straszni, jak ich zapowiadają.

- A czy ten kolega podał wam rękę? - zapytałem.

Okazało się oczywiście, że nie podał.

Młodzi lekarze, należący do składu dywizji imienia Hermanna Göringa, której sztab znalazł się w naszym szpitalu, byli sztywni i przyglądali się nam lekceważąco. Chodzili ubrani po sportowemu, w koszulkach z krótkimi rękawami do wojskowych spodni i butów z cholewami. Idąc na salę

operacyjną, zakładali tylko ceratowe fartuchy osłaniające przód, jak długie śliniaki. Sztab oddziału i lekarze zajęli górne piętro. Na obszernym tarasie ustawiono stoliki. Tu wypoczywali w słońcu, pili kawę i alkohol, tu rozstrzygali o życiu doprowadzonych, lub zgłaszających się dobrowolnie, jeńców.

W dniu, kiedy dotarłem do szpitala, pod wieczór, drugiego dnia panowania geryngowców, jeńcy byli rozstrzeliwani na zboczach parku, nad rzeczką. Bez sądu, na skinienie oficera wyższego stopnia siedzącego w towarzystwie innych wojskowych na tarasie, przy stoliku z kawą i koniakiem zarekwizowanym zapewne we Francji.

Wśród grupy oficerów - może byli to starsi lekarze, znaleźli się tacy, którzy próbowali mimochodem, w rozmowie, tłumaczyć to nieludzkie postępowanie tym, że Rosjanie pierwsi zaczęli rozstrzelować jeńców niemieckich. Bardzo przykrym wydarzeniem było rozstrzelanie dyżurnego mechanika wodociągowni tartaku, gdyż przypadkową awarię, pozbawiającą szpitala na kilka godzin dopływu wody, uznano za sabotaż. Współpracownicy i cała ludność Cumania była wstrząśnięta tą egzekucją, traktując ją jako samosąd.

Dni były pogodne. Na terenie parku szpitalnego żołnierze, wyjątkowo młodzi i dobrani, urządzili sobie coś w rodzaju wczasów. Chodzili w szortach, golili się i myli na powietrzu, prali i suszyli bieliznę. Niektórzy grali na ustnych harmonijkach.

Działalność lotnictwa prawie ustała, odzywały się jeszcze tylko strzały ze strony Janowej Doliny (kamieniołomy), gdzie trwał opór wojsk radzieckich. Po dwóch tygodniach i te oznaki wojny ucichły. Muszę przyznać, że o ile oddziały wojsk radzieckich podążały na front w tym wczesnym okresie wojny przeważnie pojazdami mechanicznymi (duże ciężarówki zakładów pracy), to część oddziałów niemieckich szła pieszo i posługiwała się zaprzęgami konnymi. Widziałem ciężkie karabiny maszynowe umieszczone na dwukółkach ciągniętych przez rosłe konie. Czołgi radzieckie były z różnych okresów, wyraźnie starszej konstrukcji, choć ogólnie biorąc ten sprzęt był bardziej nowoczesny niż zaprezentowany w 1939 roku.

Wśród żołnierzy niemieckich, zakwaterowanych na terenie szpitalnym, było kilkunastu starszych, ci zachowywali się nie tak buńczucznie jak młodzi. Kolega Cymmer i ja prawie nie wychodziliśmy ze szpitala. Podczas dyżurów spałem na stole do badania chorych w izbie przyjęć, pielęgniarka dyżurna i salowa miały rozstawione nosze. Chorzy cywilni przybywali tylko wyjątkowo a ilość rannych radzieckich żołnierzy ograniczyła się do ciężko poszkodowanych, niezdolnych opuścić postania - było ich około piętnastu. Lżej ranni zostali po kilku dniach od przybycia Niemców ewakuowani. Dokąd, nie wiedzieliśmy...

Losy rannego księdza Zawadzkiego potoczyły się niespodziewanie pomyślnie, tyle, że poprawa mowy postępowała opieszale. Po kilku miesiącach ksiądz wrócił do swoich czynności w parafii.

Cofam się jeszcze do pierwszych dni wojny, gdyż z dywizją SS przybył również kapelan, ksiądz katolicki. Powiadomiony o zamachu na księdza Zawadzkiego, udał się do domu państwa Janku, aby odprawić tam Mszę Świętą. Interesował się rannym i obiecał opiekę. Kiedy szedłem z kolegą Cymmerem odwiedzić księdza Zawadzkiego i dokonać zmiany opatrunku, towarzyszył nam żołnierz niemiecki z bronią. Właściwie nie wiem, dlaczego dano nam taką bardzo krępującą obstawę.

U rodziny Janku - ów żołnierz został na werandzie. Poczęstowano nas tam kanapkami z soczystą szynką, co w czasie, kiedy żywiliśmy się z kotła, było nie lada atrakcją. Żołnierz, któremu również wręczono poczęstunek, przyglądał się łakomie zaofiarowanemu przysmakowi, ale nie odważył się jeść, póki nie zachęciła go do tego córka gospodarzy, napoczynając poczęstunek. Zastanawiałem się nieraz, dlaczego ten właśnie obraz utkwił mi we wzrokowej pamięci: niewielki domek z gankiem, mały zagospodarowany ogródek. Na środku klombu duży krzew róży obsypany blade różowymi, pełnymi kwiatami błyszczącymi w słońcu, śmiejąca się dziewczyna i żołnierz. O ironio - niemiecki, hitlerowski - a nie ułan w paradnym uniformie z czasów księcia Józefa, jak na obrazie Kossaka.

Po mniej więcej tygodniu jednostka wojsk SS przygotowała się do odmarszu. Na miejscu pozostał komendant placu w randze rotmistrza z nazwiskiem poprzedzonym szlacheckim przydomkiem von Freiherr. Był pozornie grzeczny a miałem z nim kilka spraw do załatwienia. Wziąłem więc ze sobą kolegę Cymmera w roli tłumacza. Komendant oświadczył na wstępie, że nie może przydzielić żywności dla rannych żołnierzy radzieckich i zapytał, czy widzieliśmy stada bezpańskich gęsi (herrenlose Ganse) na skraju lasu. Trzeba je łapać, starczy jedzenia na dłuższy czas. Ale gęsi nie były bezpańskie i sprawa żywienia nie została rozwiązana. Na dobitkę pan rotmistrz przestrzegł mnie, że jestem bezpośrednio odpowiedzialny i to własnym gardłem, za ewentualną ucieczkę rannych Rosjan ze szpitala, choć to było niemożliwe ze względu na ich ciężkie okaleczenia i brak nadziei na poprawę zdrowia. Rotmistrz stawiał jednak sprawę kategorycznie, dlatego poprosiłem go o ustawienie warty, na co zgodził się. Wyznaczono czterech starszych wiekiem żołnierzy, którzy zachowywali się poprawnie. Po upływie trzech tygodni i ci odeszli, po czym Niemcy nie zdradzali już zainteresowania pozostawionymi pod moją opieką rannymi jeńcami.

Władzę cywilną zaczęli przejmować Ukraińcy. Zjawił się nowy komendant milicji wywodzący się rodem spod Przemyśla. Nazywał się Kiszka. Odwiedził mnie w szpitalu, a zorientowawszy się, że nie umiem mówić po

ukraińsku, nie chciał prowadzić rozmowy w języku rosyjskim, a więc rozmawialiśmy po polsku. Czasem zwracał się do mnie "panie dobrodziej". Komendanta Kiszki nie mogłem rozszyfrować - kto zacz. Koło jego osoby skupiała się właściwa władza, wśród przedstawicieli której znaleźli się ludzie za czasów radzieckich układni, a obecnie coraz bardziej bojowi, niechętni a nawet groźni dla Polaków.

Żywność dla chorych zdobywaliśmy z wielkim trudem. W okresie przejściowym nie było instytucji, która dysponowałaby pieniędzmi. Teraz pomocny okazał się felczer Samsonienko, wrócił on do Cumania i chociaż nie zawsze był trzeźwy, zdarzały mu się dni, kiedy okazywał dobrą wolę. Starał się o żywność i opał, w wolnych chwilach prowadził rozmowy z rannymi bojcami przeciw ideologii bolszewickiej, nakłaniał do praktyk religijnych w wierze prawosławnej, a pierwszemu zmarłemu żołnierzowi urządził wystawny pogrzeb z udziałem duchowieństwa.

Samsonienko chorował na gruźlicę i mimo nadużywania alkoholu jakoś trzymał się przy życiu. Do mnie przywykł i chyba był mi przyjazny, gdyż w tych ciężkich czasach nie przydarzyło się nic na moją niekorzyść, ale musiałem być ostrożny i tolerować w pewnych granicach posunięcia Samsonienki.

Siostra Sosnowska, pani Żenia, zaproponowała mi przeniesienie się z niewygodnej, przechodniej izby przy aptece szpitalnej, do leżącej po sąsiedzku plebanii należącej do prawosławnego księdza Daszkiewicza. Duży pokój podzieliła pani Żenia między siebie i mnie. Nieco później zajęliśmy część małego parterowego domku, gdzie mieściła się poprzednio izba porodowa, zlikwidowana po wyjeździe doktora Gelbsztajna.

Życie codzienne zaczęło powoli wracać do równowagi, w niczym nie zapowiadając późniejszych represji zarówno na ludności żydowskiej jak i polskiej.

Wścibski osobnik narodowości żydowskiej, o którym już wspominałem, trafił zaraz po wycofaniu się władz radzieckich do placówki NKWD rejonu, gdzie przechwycił niektóre dokumenty, dotyczące, między innymi, prowadzenia nadzoru milicyjno-politycznego. W mojej rubryce nie było żadnych adnotacji. Znalazły się również protokoły wymuszanych zeznań dotyczących kilkunastu niepokornych wobec radzieckiego ustroju rodzin, przeważnie ukraińskich. Protokoły zostały przekazane przez powstającą po przyjeździe Niemców administrację ukraińską do rąk gestapo, a osoby, które podpisały wymuszone zeznania, zostały rozstrzelane publicznie.

Tak zginęła moja pacjentka - Polka, która wraz z dzieckiem próbowała przedostać się do Generalnej Guberni, dokąd już wcześniej udał się jej mąż i tylko za cenę złożenia podpisu na sfińgowanym zeznaniu przeciw ukraińskiej rodzinie pozostała w Cumanii, zamiast karnego przesiedlenia

na Wschód. Pamiętam, jakiego wstrząsu doznała, kiedy na salę chorych, gdzie leżała, wszedł niespodziewanie odwiedzający swoją matkę, również pacjentkę, zastępca naczelnika miejscowej agendy NKWD. Młoda kobieta w czasie tych smutnych wydarzeń miała przyjaciela Rosjanina (inteligenta), który współpracował z nową władzą ukraińską, ale nie mógł, czy uchylał się od interweniowania w obronie bliskiej sobie, jak wieść niosta, osoby.

Po przeniesieniu się z kwatery szpitalnej do pani Żeni byłem mniej osamotniony, czując nie tylko fizycznie obecność drugiej osoby, ale nade wszystko jej troskliwość i nie dające się ukryć uczucie, którego nie mogłem odwzajemnić.

Pani Żenia, moja rówieśnica, była wdową z dorastającym synem Mikołajem, który - przyznam - nie patrzył na mnie złym okiem. Z gospodarzem plebanii, prawosławnym księdzem Daszkiewiczem, wdawałem się w dłuższe rozmowy. Był dość obytym człowiekiem. Zwiedził trochę krajów na Zachodzie, od biedy mówił po niemiecku tak, że mógł dość energicznie przemawiać do niemieckich żołnierzy, stale nachodzących jego posiadłość, w poszukiwaniu miodu lub usiłujących zabrać z chlewiku sporego tuczniaka. Miodem ksiądz Daszkiewicz częstował, ale tuczniaka obronił, interweniując u wyższej władzy wojskowej, naturalnie niemieckiej, lecz unikającej w tym czasie zadzierania z przedstawicielem społeczeństwa ukraińskiego. Wśród zwierzeń księdza Daszkiewicza były również dotyczące ludzi radzieckich. Przynosili oni dzieci po kryjomu do chrztu. Sakramentu dokonywał ksiądz przy ołtarzyku zaimprovizowanym w domu. Z kandydatami zgłaszała się zwykle babka ze strony matki, rzadziej ojciec, który mógł być funkcjonariuszem administracji, a niekiedy czynnym członkiem partii.

Któregoś dnia Daszkiewicz zapytał mnie:

- A wie pan, kto był u mnie u spowiedzi? Matka prokuratora, przyjechała z dalekiej Ukrainy. -

Muszę jednakże stwierdzić, że ołtarzyk na plebanii był umieszczony tuż przy kuchni, w ciemnym i niezbyt schludnym pokoju, co bardzo obniżało powagę udzielanych sakramentów - chrztu i małżeństwa.

Wśród rannych miałem żołnierza wymagającego badania rentgenowskiego klatki piersiowej ze względu na ranę postrzałową okolicy przysercowej. Miejsca wylotu pocisku nie znaleźliśmy. Badanie rentgenowskie można było przeprowadzić w Łucku, dokąd udałem się parokonnym wozem szpitalnym z chorym i pielęgniarką. W Łucku spotkałem kolegów lekarzy i znajomych, między innymi brata doktora Mieczysława Fejgina, dlatego postanowiłem odesłać chorego pod opieką pielęgniarki, zanocować i następnego dnia powrócić bryczką nadleśnictwa, tym bardziej, że pojazdem rozporządzała znajoma pani, żona nadleśniczego, o której pisa-

łem już wcześniej. Dziś nie mogę nadziwić się, że tak właśnie postąpiłem, gdyż, jak się potem okazało, wybrałem drogę nazbyt niebezpieczną a spędzenie kilku godzin w towarzystwie osoby, która - przynaję - podobała mi się, opłaciłem dużym ryzykiem. Ale taka jest męska fantazja. Noc spędziłem w Łucku w mieszkaniu kolegi Sznejberga. Jego współlokatorem był brat doktora Fejgina (po wojnie profesora), mego starszego kolegi z oddziału doktora Anastazego Landaua. Rozmowa o dokonanych wydarzeniach i o tym, co jeszcze może nastąpić, toczyła się do późnej nocy. Dowiedziałem się, że doktor Fejgin został deportowany na daleką Północ nad Białe Morze, gdyż - podobnie jak ja - zgłosił chęć powrotu do Warszawy. Odwiedzając powtórnie Łuck w grudniu tegoż roku, widziałem się z kolegą Sznejbergiem, który wykonał mi prześwietlenie klatki piersiowej. Przy sposobności przekazał smutną wiadomość. Jego współlokator, brat Fejgina, prawnik, wybrał się jesienią 1941 roku w podróż do Warszawy i zginął po drodze.

Powrotna droga do Cumania prowadziła przez opustoszały teren. Mijaliśmy, między innymi, osadę Zofiówka należącą do rejonu Cumańskiego. Było to niewielkie osiedle zamieszkałe przez ludność przeważnie żydowską. Niemcy utworzyli tam getto, dokąd przeniesiono wszystkie Żydówki i dzieci z rejonu. Mężczyzn grupowo rozstrzelano.

Dalsza droga do nadleśnictwa nie prowadziła, jak się okazało, przez Cumań, ale przebiegała obok leśniczówki, do czasów inwazji niemieckiej dobrze zagospodarowanej, posiadającej własną lokomocję i połączenie telefoniczne. Na to liczyłem tak dalece, że gdy dojechaliśmy do celu, nie sprawdziłem, czy wszystko jest takie, jak dawniej. Pożegnałem panią i skierowałem się do zabudowań, gdzie przekonałem się, że połączenie telefoniczne jest zerwane, nie ma również środków dojazdu do Cumania. Byłem zmuszony iść pieszo około ośmiu kilometrów przez gęsty las. Szedłem samotnie, na całej drodze nie spotkałem żywej duszy. Włosy jeżyły mi się na głowie. Mogłem przecież natknąć się na ukraińskich wyrostków, podobnych tym, którzy podcięli gardło księdzu Zawadzkiemu, jak i na wojskowych maruderów. Nawet zagajenie rozmowy w języku rosyjskim nie uchroniłoby mnie przed napastliwością nacjonalistów ukraińskich, a posługiwanie się mową polską byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne! Szedłem szybko, chwilami potykałem się o wystające korzenie. Nie oglądałem się, ale penetrowałem wzrokiem las na boki. Do Cumania przyszedłem ogromnie zmęczony i tu czekała mnie smutna wiadomość. Ubiegłego dnia przyjechało gestapo, wybrali szereg osób, między innymi ojca pielęgniarki z izby porodowej - Bogusza. Również moją pacjentkę Polkę, o której już pisałem. Także kilku innych Polaków pracowników tartaku i dawnych oficjalistów radziwiłowskich. Wśród zabranych znaleźli

się także nieliczni Ukraińcy. Wszystkich rozstrzelano na tak zwanej wyspie, wprost okien szpitala. Dzień egzekucji zapoczątkował okres przygnębienia i niepewności w Cumanii i okolicy.

Następnej egzekucji na większą skalę dokonało gestapo w trzy tygodnie później.

Byłem zajęty w izbie przyjęć szpitala, gdy weszła dwójka gestapowców. Zapytali kim jestem i jaka jest moja narodowość. Odpowiedziałem z trudem wiążąc niemieckie zdania. Wtedy jeden z przybyłych przemówił po polsku, prawie biegle. Pytał ilu Żydów pracuje w szpitalu.

- Lekarz Cymmer - ten jest panu potrzebny?

- Tak, to jedyny chirurg.

- Zostaje nadal. Kto jeszcze?

- Felczer Suwalski.

- Kto to jest felczer, co on robi?

- Jest pomocnikiem lekarzy przy niewystarczającej obsadzie pielęgniarskiej. Po odejściu radzieckich pielęgniarek, felczer wykonuje również ich czynności.

- Dobrze, niech zostanie. Kto jeszcze?

- Intendent.

- No, ten jest panu niepotrzebny - stwierdzili obaj gestapowcy tonem z góry przesądzającym o bezcelowości wszelkich wyjaśnień. Mówiłem o trudnościach zaopatrzenia szpitala w żywność i opał - bezskutecznie. Intendent Głowiński szedł przez podwórze, poprawiając opaskę ze znakiem Syjonu na rękawie. Do izby przyjęć wszedł blady z wyrazem przerażenia w oczach. Pamiętam ten moment jakby wydarzył się przed chwilą. Za bramą stała ciężarówka, ale na platformie nie było widać stojących czy siedzących pasażerów. Również Głowiński zniknął z zasięgu wzroku.

Niebawem dowiedziałem się, że wszyscy mężczyźni narodowości żydowskiej zostali w ten sposób załadowani do ciężarówki i odwiezieni na tak zwaną wyspę do siedziby władz administracji ukraińskiej. Nad wieczorem rozległy się salwy z broni maszynowej w kilku seriach. Zginęli wszyscy, tylko jeden Polak, Wiśniewski - poznańczyk, urzędnik tartaku, został zwolniony po sprawdzeniu dokumentów, jakie miał przy sobie. Wiśniewski mówił biegle po niemiecku, był zaangażowany do poważnych czynności przez paramilitarną organizację Todt'a, wykonującą prace budowlane dla wojska. Na przykładzie Wiśniewskiego sprawdziło się to, co jeden z moich pacjentów - Borysiewicz, nacjonalista ukraiński, powiedział mi w zaufaniu:

- Panie doktorze, Niemcy dali nam wolną rękę wobec wszystkich, którzy przeszkadzają w zaprowadzeniu nowego ładu na naszych ziemiach. Wystarczy, że wskażemy palcem taką osobę, a los jej jest przesądzony. Zresztą sam pan już zdążył przekonać się. -

Po tej egzekucji kolega Cymmer i felczer Suwalski postanowili opuścić Cumań i starać się o dołączenie do grup partyzantów, które - jak sądzili - już powinny organizować się.

Cymmer zginął w akcji, a losy Suwalskiego nie są mi znane.

Po zamordowaniu mężczyzn Żydów, zostały kobiety wdowy, matki z dziećmi, między innymi żona lekarza Dessera, który zginął w czasie walk od odłamka pocisku armatniego. Desser wybiegł do ogrodu po wózek dziecięcy i w tym momencie padł. Żona zabitego została z małym synkiem, który urodził się po latach oczekiwania na dziecko. Grupę Żydówek umieszczono w osadzie Zofiówka, tworząc getto.

c.d.n.



rys. Jerzy Blancard